

247

Cena niniejszego numeru 50 fen.

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odosłanie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2 1/2 mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykle 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fenig. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 20 m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, ZGODA № 1.  
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń  
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

# ŚWIAT

Rok XII. № 18 z dnia 5 maja 1917

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

BRACIA JABŁKOWSCY BRACKA 23

MATERJAŁY

WEŁNY  
DREWNY  
JEDWABIE

BIELIZNA

DAMSKA  
ME-SKA  
DZIECIĘCA

WYPRawy ŚLUBNE  
OD 300 pp

OKRYCIA  
KOSIUNY  
SUKNIE  
BLUZKI

SUKNIENIA DLA PANIENEK — UBRANIA DLA CHŁOPCÓW

OBUWIE  
DAMSKIE  
DZIECIĘCE

10270

## Wokoło konstytucyi polskiej.

Praca prawodawcza nad układaniem konstytucyi polskich wre. Odbyna się ona w Warszawie i w Krakowie, w całym komplecie komisyi, z których jedne przygotowują konstytucyę dla Królestwa Polskiego, drugie dla Królestwa Galicyi. Jest to konsekwencya monarszych aktów z jednej daty: 5 listopada 1916, które dawały krajowi naszemu niepodległość i wyodrębniały Galicyę.

Komisye warszawskie zorganizowały się w ten sposób, że jedna wzięła na swoje barki artykuły, dotyczące seimu osobno, druga resztę praw fundamentalnych. Referentem pierwszej jest prof. Cybichowski, referentem drugiej jest prof. Siemieński. Niezależnie od nich, choć w związku, układany jest w jednej i drugiej komisyi inny projekt, z dobrej ochoty członka komisyi płynący. Takj projekt w komisyi sejmowej obrabia p. Studnicki, a w komisyi konstytucyi p. Kunowski, obaj radni stanu. Żadne szczegóły nie zostały jeszcze prasie zakomunikowane; wiemy tylko ogólnie, że sejmowa komisya rozpoczęła swe zadanie od wypracowania *tez ogólnych*, które podda opinii Rady Stanu (a zapewne i opinii publicznej przez pośrednictwo prasy), poczem dopie-

ro tworzyć będzie artykuły. Druga komisya od razu artykuły pisze. Parę dziesiątków ich ma gotowych; wyczerpują one prawa i powinności monarchy polskiego.

Więcej natomiast wiemy o projekcie konstytucyi galicyjskiej. Przewidywany jest tu parlament dwuizbowy, oczywiście. Izba z 228 posłów, wybieranych przez powszechne, bezpośrednie, równe i tajne głosowanie — w dwóch osobnych kurjach: polskiej i rusińskiej. Kobietom daje się prawo głosu, ale jeszcze nie powszechne: tylko tym, co studia akademickie odbyły lub urząd publiczny sprawują. Senat z 130—140 członków, mianowanych i wybieranych. Sejm wybiera delegatów do Parlamentu wiedeńskiego i delegacyi „przedlitawskiej”, jak się austriacka na przyszłość ma nazywać. Ministrowie galicyjscy nosić będą nazwę sekretarzy stanu; przewodniczyć im będzie kanclerz, wybrany z łona sejmu. Pod względem językowym projekt jest liberalnym; o prawa języka polskiego dba, ale rusińskiemu też praw nie zaprzecza, a przewiduje uznanie języka niemieckiego w stosunkach z monarchią. Ministerjum dla Galicyi przy rządzie wiedeńskim ma być zachowane, nawet rozwinięte. Docho-

dy skarbowe bez wyjątku Galicyi oddane.

Oto rys projektu, o ile można, skrócony.

\*

Nowopowstające albo choćby tylko przekształcające się państwo nowożytnie nie może się obejść bez *konstytucyi*. Ten termin posiada obecnie inne znaczenie, niż w starożytności. Sto trzydzieści konstytucyi, które spisywał Arystoteles, aby zebrać materiał obserwacyjny do swej „Polityki”, są to poprostu prawa, i nie więcej. Jeszcze Hobbes, pisząc swój traktat słynny o państwie, p. t. „Leviatan” (w którym uzasadniał bezwzględny absolutyzm monarchy), twierdzi, że nigdzie nie znalazł wzmianki o tem, aby prawa konstytucyjne miały jakikolwiek przywilej nad innymi prawami.

Ten przywilej zyskały dopiero w konstytucyi amerykańskiej z roku 1787, która jest właściwie pierwszą konstytucyą świata w dzisiejszem pojęciu, z prawa państwowego bowiem czyni ona pierwszą coś zasadniczego, pierwotnego. Odtąd też prawa konstytucyjne uważane są za *prawa fundamentalne*, które inaczej, aniżeli wszystkie inne prawa, powstają i inaczej są zmieniane.

Ta pierwsza konstytucya świata, na prawach angielskich wogóle wzorowana, a przeniknięta radykalnie teorią Montesquieu o rozdziale władz, stanowi całość jurydyczną,



Fot. A. Mastowski.

Włodzimierz Tetmajer. „Powrót”.

ale nie racjonalistyczną. Brakuje jej filozoficznych podstaw, które światu dała rewolucja francuska w Deklaracji praw człowieka. I konstytucja francuska z 1791 r., przez te prawa natchniona, stała się dopiero wzorem dla wszystkich innych, opierających się na demokratycznym gruncie, — jak hiszpańskiej z 1812 r., norweskiej z 1814, portugalskiej z 1822 r., belgijskiej z 1831 r. I druga konstytucja francuska z 1793 r. wpływ swój również wywarła, bo ona to wprowadziła głosowanie powszechne, równe i bezpośrednie.

Zadziwiającem jest, że w kraju, który dał światu parlamentaryzm, uważany dziś za część integralną konstytucji, w Anglii, niema wcale konstytucji (t. j. prawa fundamentalnego). Raz tylko miała Anglia konstytucję, za Cromwella, która upadła jeszcze przed upadkiem angielskiej republiki.

\*

Prawa fundamentalne w swej rdzennej istocie są gwarancją parlamentaryzmu; to jest systemu, przez który naród może wypowiedzieć swą myśl i swą wolę i w ten sposób zyskiwać prawa indywidualne dla jednostki ludzkiej i pozyskać raz bronić. To też ustalo-

ny mocno w obyczaju system parlamentarny, gwarantowany przez tradycję w Anglii, czyni tam zbędną konstytucję. Konstytucja zaś sama nie daje, jak dotychczas, gwarancji systemowi parlamentarnemu, jeżeli on nie wtargnie w obyczaj polityczny narodu. Żadne np. prawo, już nie tylko fundamentalne, ale i zwykłe, parlamentarne, nie mówi, że angielscy ministrowie póty trwać mają, póki większość ich podtrzymuje. I w konstytucji francuskiej niema takiego artykułu, któryby to wyraźnie mówił. I w innych konstytucjach nawet, wprost przeciwnie, wymieniono, że ministrowie są odpowiedzialni tylko przed tymi, którzy ich mianują, na całym świecie zaś ministrów mianuje głowa państwa, nigdzie parlament. W Stanach Zjednoczonych ministrowie nigdy nawet nie stają przed parlamentem.

Uważane to jest jednak za lukę współczesnego konstytucjonalizmu. Pomimo prawa fundamentalnego wszędzie wciiera się w obyczaj odpowiedzialność ministra wobec parlamentu, który jest zawsze dla niego ciałem kontrolującym. Zbyt wiele ma mocy parlament, zbyt wiele prerogatyw i przywilejów, aby mógł utrzymać się minister, z którym po-

słowie nie zechcą mieć stosunków. To też i w Austrii i w Niemczech rząd szuka zawsze pod sobą oparcia w większości. Bismarck był ostatnim wielkim politykiem, który rządził wbrew parlamentowi.

Tendencja, aby faktycznemu stanowi rzeczy dać formę prawną, jest nader silna. I z pewnością żadna rewizja konstytucji nie odbędzie się, żeby nie wstawiono w nią artykułu o odpowiedzialności ministra przed parlamentem. Wprowadzie p. Kulczycki broni u nas bardzo żywo starej zasady, ale jest to krzyżący anachronizm. Wydaje mu się, że taka zasada może wzmocnić rząd polski. Jest to liczyć na polskich Bismarków, których geniusz zostanie przez inteligencję narodu zapoznany. Dwa przewidywania całkiem fantazyjne. Raczej liczyć się należy ze zreczną niezdolnością, która gotowa czeplić się rozpacznie władzy. I nie ułatwiać jej życia, bo to się robi kosztem kraju.

Galicjanie już tę sprawę przesądzi. W projekcie konstytucji wyodrębnienia Galicji znajdujemy odpowiedzialność rządu przed sejmem.

Nie można wątpić, że takież artykuły znajdziemy i w projektach warszawskich.

Adam Wierzynek.

Niejednokrotnie dają się słyszeć utyskiwania na zbyt wielką u nas liczbę partii i ugrupowań politycznych. Ci, co na to powstają, nie biorą, dostatecznie w rachubę wyjątkowych warunków, w jakich rozwija się życie polityczne Królestwa. Ugrupowania polityczne kształtują się nie tylko według odrębnych programów społecznych, ale przede wszystkim podług tak zw. orientacji. Nieszczęśliwe owe orientacje, zmienne i lotne, stanowią podwaliny nader kruche. Programy społeczne również nie mają odpowiednich fundamentów, na których mogłyby się wesprzeć.

Z wyjątkiem partii socjalistycznych i klubu państwowców, wszystkie stronnictwa polityczne w Królestwie należą już to do Rady Narodowej (aktywistyczne), już do Koła Międzypartyjnego (pasywistyczne). W obu tych ciałach zbiorowych figurują zarówno żywioły zachowawcze, jak postępowe. Do koła międzypartyjnego należą: realisci, narodowi demokraci, Zjednoczenie narodowe (łódzkie), Związek samodzielności gospodarczej, polska partya postępową, demokracja chrześcijańska oraz pewna liczba osób...

bezpartyjnych. W skład Rady Narodowej, prócz bezpartyjnych, wchodzą przedstawiciele następujących ugrupowań: Stronnictwa Narodowego, Ligi państwowości polskiej, Zjednoczonych Stronnictwo De-

mokratycznych (Stronnictwo pracy narodowej, Zjednoczenie postępowe, Radykali narodowi), Stronnictwa Niezawisłości, Centralnego Komitetu Narodowego, Związku Niepodległości, Demokracji Polskiej, Narodowego Związku Robotniczego, Polskiego Stronnictwa Ludowego, Zjednoczenia Ludowego.

W tych dwóch wielkich zrzeszeniach koncentruje się życie polityczne Królestwa. W ciągu ostatnich dwóch lat na widowni pojawiło się wielu nowych ludzi. Tak być musiało, bo przeważnie ci politycy, którzy przed okupacją trzymali w swych rękach ster, wyjechali. Stąd nowym ludziom często czyniony jest zarzut dyletantyzmu. Niezbyt słuszny, bo w olbrzymiej większości są to wszystko obywatele, którzy czynny udział brali w życiu publicznym, zwłaszcza w pracy społecznej. Ta zaś, jak wiadomo, najlepszą jest szkołą polityczną.

Czy ujawniły się wybitniejsze talenty polityczne?

Odpowiedź bardzo trudna. Ocenę należy zostawić przyszłości. To pewna przecież, że zadania, jakie przypadły w udziale naszym politykom, były niezmierznie trudne. Że podjęli pracę chętnie i ofiarnie, rozumiejąc odpowiedzialność, jaką nakłada wielki, przełomowy moment dziejowy.





*Ze zbiorów mec. L. Papieskiego.*

*Fot. Marian Fuks.*

Dawne to czasy, gdy Zygmunt Stary sprowadził do Polski dwóch znakomitych mistrzów włoskich, Jana Jakóba Caraglio i Jana Marię Padovano, którzy w bronzie uwiecznili rysy ostatnich Jagiellonów. Medal od tej pory zdobywa sobie stałe obywatelstwo polskie. Jeszcze przez długi czas twórcami tych miłych pamiątek przeszłości są mistrzowie pochodzenia obcego, aż wreszcie za Stanisława Augusta Jan Regulski przysparza chwały polskiej sztuce i na polu medalierstwa. Od tej pory co pokolenie zjawiają się nazwiska o brzmieniu polskim, zasłużone dla tego rodzaju sztuki. Wojna przytem posłużyła niezwykle rozwojowi medalierstwa.

Tyle przecież przewala się wypadków epokowych, godnych uwiecznienia. Artysta-medalier ma wielkie pole do pracy i twórczej inicjatywy. W plakiecie czy medalu pamiątkowym zamyka chwile wydatne, tworząc w ten sposób artystyczną kronikę wypadków. Kto interesuje się rozwojem medalierstwa w Polsce — niech przejrzy choćby katalog rzeczy stworzonych podczas wojny. Znajdzie tu ich poważną liczbę, nie mówiąc o tem, że większość rzeczy posiada wybitną wartość artystycz-

ną. I nic dziwnego. Twórcami polskiego medalu są tacy majstrowie, jak Laszczka, Raszka, Wysocki, Popławski, Lewandowski, Trojanowski, Jastrzębowski i Bieliński. Nazwiska te wcale nie wyczerpują dorobku medalierskiego w czasie wojny. Trzeba przecież wspomnieć M. Kendrzyńskiego, Kunzeka, Wysockiego — czyż to już zamyka listę?

By dokładnie zdać sobie sprawę z rozwoju naszego medalierstwa w czasie wojny — udaliśmy się z prośbą do mec. Papieskiego, wybitnego kolekcjonera i zamilowanego zbieracza medali. Mec. Papieski chętnie nam użyczył co najciekawsze okazy swoich zbiorów do reprodukcji. Dwie olbrzymie gabloty — to plon wojenny. Znaleźć w nich można niemal miesięczną a nawet tygodniową kronikę wydarzeń obecnych.

Mecenas Papieski nie jest zadowolony o swoje skarby. Pokazuje je chętnie. Systematyzuje zaś wprawna ręką zamilowanego artysty.

— Czy pan mecenas zbiera medale tylko aktualne?

— Pan nie zna jeszcze moich zbiorów! Miętko bierze mnie pod rękę mec. Papieski i przeprowadza do artystycznie urządzonego salonu. Tu w narożniku stoją piękny antyk-

szafa. Kluczyk odmyka drzwiczki i otwiera się cały rejestr szuflad i szufladek. Każda szuflada wyłożona jest aksamitem. W porządku historycznym mec. Papieski pokazuje mi stare okazy medalierstwa, istne cuda sztuki rzeźbiarskiej.

Mec. Papieski medale bierze w swoje ręce ze specjalną jakąś tkliwością. Wydaje się, że chciałby wyczarować z nich zamierzehle bujne życie polskie.

— Te szufladki — to medale królewskie, wskazuje mec. Papieski, biorąc do ręki przepiękny, opatynowany okaz z podobizną Zygmunta. Jest to unikat, rzadkość i to tem cenniejsza, że zamyka w sobie tragizm domu Jagiellońskiego.

Następnie cały szereg szuflad z medalami religijnymi: przepiękne okazy. Cała chrześcijańska dusza Polski śpiewa tu podniosłą symfonię naszych umiłowań!

Wreszcie znajdujemy kaseteczki z medalami działaczy społecznych oraz jubileuszowe symbole różnych instytucji naukowych, artystycznych i społecznych.

Mec. Papieski ma też specjalną szufladę z medalami, wybitymi na wieczną ohydę pamiątkę. Do takich

należy doskonale zachowany bronz z podobizną Apuchtina.

— Jaka to szkoda, że Apuchtin nie dowie się już, iż mamy niepodległą Polskę, a dom Romanowów podał się do przymusowej dymisji?

Mecenas Papieski na moją uwagę nie mie odpowiada. Zamyka swoje skarby z westchnieniem.

— Ile lat systematycznej pracy pan włożył w swoje zbiory?

— Zbieram bardzo dawno. Jest to jedna z moich życiowych pasji.

— I trzeba dodać, że pasja ta jest szlachetna — dorzucam.

— Nie podczas wojny — proszę pana. Teraz nie jest to wcale przyjemnością — bo jednak tyle potrzeb naokół. Nieraz człowiek waży pieniądze w rękę, nim go wyda.

— Co pan sądzi o medalierstwie polskim?

— Uważam, że i na tym polu nie ustępujemy zagranicy. Szczególniej podczas wojny artyści nasi doskonale rozwinęli ten dział sztuki. Medale polskie na rynkach mają duży popyt i są stosunkowo dobrze płatne.

— Czy pan mecenas nie zbiera medali wojennych obcych artystów?

— Staram się przeważnie kolekcjonować tylko dzieła polskie. Bogate zbiory, obejmujące prawie wszystko możliwe, co zrobiono w medalierstwie podczas wojny, posiada p. de Phull.

P. de Phull jest znanym też i zasłużonym zbieraczem. Cichy ten człowiek dla własnej satysfakcji i przyjemności nagromadził takie skarby w sztychach i medalach, że zbiory jego należą do poważniejszych w Polsce. Osobiste środki mając tylko do rozporządzenia, nie korzystając z żadnych pomocy pobocznych, grających tak wydatną rolę w życiu narodu państwowego, gdzie rząd popiera tego rodzaju pracę, p. de Phull umiał jednak zebrać wartościową i pouczającą kolekcję. Sama wojenna kolekcja wynosi już kilka-



Proklamacja Państwa Polskiego  
d. 5 listopada 1916 r.



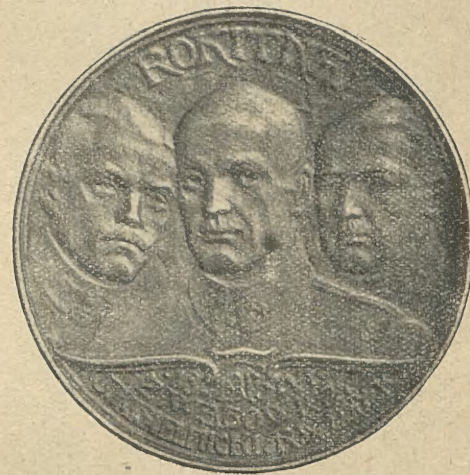
Medal J. Raszki: J. Piłsudski, twórca  
wojska polskiego (1914-15-16).

set sztuk. Obok polskich dzieł p. de Phull posiada medale roboty niemieckiej, austriackiej, francuskiej, włoskiej i rosyjskiej, a dotyczące Polski.

Oto medal na zdobycie Warszawy przez wojska niemieckie, medal na zdobycie twierdz rosyjskich w Polsce — jednym słowem, cały szlak wojenny, jakim szły zwycięskie wojska niemieckie w roku 1915 po przez ziemie polskie, znalazł się w rękach p. de Phulla. Przyszłość z tych medali będzie mogła odczytać dzieje tych tytanicznych walk, jakie toczyły się wśród naszych pól i miast.

Jak interesują się i cudzoziemcy medalierstwem polskim, dowodzi fakt, że redakcja nasza otrzymywała i otrzymuje listy z Hamburga, Bremy, Monachium, Norymbergi z zapytaniem, gdzie można otrzymać ten lub inny historyczny dokument za kłuty w bronz dłutem artysty-rzeźbiarza. Dla miłośników-zbieraczy wojna otworzyła wrota do raju. Gromadzi się wszelkie możliwe rzeczy, ale stanowczo najszlachetniejszy rodzaj — to kolekcjonerstwo medali.

Kals.



Pamiętnik bitwy pod Rokitą.



Poległym na polu chwały 1914-15.



Wielcy polscy jałmużnicy: Paderewski,  
Sienkiewicz, Ks. Sapieha.



Rutowski, bohaterski prezydent Lwowa



Na cześć Bandurskiego biskupa-patrioty.

# MIOTACZE BOMB.

Wojna pozycyjna na francuskim froncie wyciągnęła z lamusów zapomnienia stare ballisty i katapulty. Z początku na małe dystansy od 300—500 metrów stosowano ręczne granaty. Jest to bomba obsadzona na małej ręczce, napełniona nitroglicerynowymi substancjami o szklanym zapale z płynem, wywołującym natychmiastową chemiczną reakcję eksplozyj. Rzucona bomba, upadając na twarde przedmiot, wstrząsa się, przez co pe-

ka delikatny szklany zapal i wyrzuca w powietrze od kilku do kilkunastu kubiczków kwadratowych ziemi. Siła eksplozyji zależna jest od ładunku. Ładunki bywają różne, od ćwierć funta do kilku funtów. W ostatnich czasach żołnierze idący do ataku w pierwszych liniach, nieśli miast karabinów do obrony ręczne granaty. Granaty te doskonale niszczą zagrody druciane i wszelkie betonowe umocnienia.

Granatniki natomiast zazwyczaj, bronię przez karabiny maszynowe musi burzyć artyleria. Jest to zadanie przytem dla artylerii nielada. Granatniki są to bowiem schrony podziemne betonowe dla żołnierzy przed ogniem huraganowym. Dopiero gdy po niszczycielskim ogniu armat idzie nieprzyjaciół na okopy w przypuszczeniu, że nie znajdzie tam nikogo, wyrastają mu z pod ziemi, z granatników falangi obrońców. Burzenie granatników jest rzeczą trudną, gdyż artyleria działa na duży dystans. Otóż w tym celu zmontowano na nowo starą katapultę. Wyrzuca ona na bliski dystans duże pociski, tak zwane torpedy powietrzne o niezwyklej sile destrukcyjnej. Są to kilkopudowe bomby. Miotacz torped powietrznych ustawiony jest na czołowych pozycjach w rowach obronnych naprzeciwko granatnika. Działa prosto: zakłada się bombę na końcu żelaznego drąga. Drąg ten poruszony sprężyną funkcjonuje według tych samych prawideł, co i rozbijany w ręku ręczny granat.

Narzędzie to stosowane jest obecnie przez wszystkie strony walczące. Po raz pierwszy zaś odnowili tradycję katapulty-miotacza bomb francuzi. Używa się tych przyrządów do rzucania bomb nie tylko eksplodujących i niszczących zagrody druciane, granatniki i rowy strzeleckie. Miotacze bomb rzucają też torpedy z gazami trującymi. W ten sposób zadania niszczycielskie artylerii przejęły też na siebie w pewnym stopniu miotacze bomb. Prosta ich konstrukcja i łatwość przenoszenia zdecydowały o wielkiej ich używalności bojowej. *Dr. Z. M.*



Francuski miotacz bomb: trzypudowa torpeda idzie w górę.



Kilkofuntowa bomba puszczona w ruch z okopów francuskich.

## Nowoorganizowana straż ogniowa skautowsko-ochotnicza w Czerniakowie.



Z inicjatywy pp. M. Ruśkiewicza, architekta i Al. Antoszczuka, komendanta drużyny skautowej im. S. Czarneckiego, inaugurowano d. 29 kwietnia r. b. w Czerniakowie straż ogniową ochotniczą p. n. „Drużyna Strażackiej”. Młoda brać strażacka, śmiało zdążająca ku celom, mogącym dobrobyt i siłę Ojczyznę przysporzyć, w osobach pp.: X. M. Kominka, A. Antoszczuka, S. Gołębiowskiego, A. Młynarczyka, M. Kałdonka, F. Piaseckiego, J. Wardeckiego, B. Uklei oraz p. M. Seostopalskiej, znalazła żywe poparcie.

*Fot. Maryan Fuks,*

## Teatry warszawskie.

TEATR ROZMAITOŚCI. „Łukasiński”, opowieść dramatyczna w 6-ciu obrazach Ireny Panenkowej.

Koło bohaterskiej postaci Łukasińskiego już urosła legenda. Wiele w tym względzie zdziałał S. Askenazy swoim dwutomowym dziełem o tym wodzu polskiego wolnomularstwa narodowego. Spiżowa postać majora przykuwa uwagę każdego polaka, urosł bowiem Łukasiński na prototyp wszystkich tych męczenników idei wolności, którzy dla sprawy gnębieni byli w celach cytaadel i Syberyi.

Postać Łukasińskiego zasługuje przytem ze wszelkim, by spopularyzować jej oblicze dziejowe, by pokazać to mocne i niezłomne bohaterstwo, przed którym schylił głowę nawet wróg. P. Panenkowa zapewne nie powiedziała ostatniego słowa w tym względzie. Napełnia bowiem i w przyszłości pociągnie Łukasiński wyobraźnię jakiegoś dramatopisarza. W postaci tej kryje się tyle fascynującego uroku, że samo zbliżenie się i życie z tym symbolem naszych walk podziemnych o wolność już działa

## Zmiany w Komendzie Legionów.

zapładniająco i podniecająco na wyobraźnię każdego Polaka.

P. Panenkowa w swoich sześciu obrazach dała „historię” postaci Łukasieńskiego: poznaliśmy go od chwili, gdy zaciągnąć się zamierzył w szeregi armii Dąbrowskiego, a rozstaliśmy się w twierdzy Szlisselburskiej po słynnej rozmowie z Bakuninem. Czy p. Panenkowa wydosłała z biografii Łukasieńskiego wszystkie te momenty, które najlepiej charakteryzują go jako człowieka i bohatera? Pytanie to znajduje odpowiedź najlepszą w pierwszych trzech obrazach, które przechodzą bez wrażenia prawie. Dopiero w obrazie czwartym, nieprawdziwym historycznie i artystycznie fałszywym, gdyż Łukasieński milczek mówi tyradę za tyradą, p. Panenkowa zdobywa uwagę słuchacza dla gorącego frazesu patryotycznego. Zawdzięcza to w zupełności świetnej grze Węgrzyna i Frenkla. Obraz piąty pokazuje Łukasieńskiego w powstanie listopadowe, a szósty na schyłku życia w 1860 r. w Szlisselburgu. W obrazach tych opowieść zwyczajna o faktach historycznych robi duże wrażenie i to znów dzięki dobrej grze Węgrzyna.

P. Panenkowa pominęła cały szereg interesujących scen z życia Łukasieńskiego, które same przez swoją treść posiadają doskonały materiał teatralny: dla przykładu zacytujemy choćby scenę na Powązkach, gdy degradują Łukasieńskiego.

Dla sceny ludowej sztuka tego rodzaju może mieć wielką wartość pouczającą i moralną. Dla widzów inteligentnej, poszukującej wrażeń artystycznych w rozkoszowaniu się dyalogiem, interesującej się sposobem prowadzenia akcji i widzenia psychiki człowieka, w sztuce Panenkowej nie znajdzie się wiele takich momentów. W każdym razie debiut ten należy zapisać w kronice naszej teatralnej, jako dodatni. Reżyseria p. Bednarczyka okazała się bardzo staranną i wystawa nie pozostawiała nic do życzenia. Z artystów na czoło wysunął się Frenkel, świetną swoją kreacją wielkiego ks. Konstantego. Ta rola pokazała, że Frenkel umie z przedziwną precyzją charakteryzować człowieka na scenie. Z pań, w małych epizodycznych rolach wystąpiły pp. Sulima, Trapszo i Bogusławska. Dobrym Bułą był p. Janusz. Rola ta doskonale podpadła pod rodzaj możliwości artystycznych p. Janusza. Sukces jednak zupełny odniósł p. Węgrzyn, jako Łukasieński.

TEATR POLSKI. „Miss Mary”, farsa w 3 aktach K. Wroczyńskiego i B. Winawera.

Farsę tę grał przed kilkoma laty Teatr Zjednoczony przy ulicy Bieleńskiej. Nosila wtedy tytuł „Gaudeamus”. Obecnie po gruntownej przeróbce zobaczyliśmy ją poraz drugi ze zmienionym nagłówkiem. Przeróbka wypadła bardzo dodatnio: publiczność śmiała się bez przerwy przez całe trzy akty. A treść? Wesola nędza studencka w jakimś mie-



Gen. major hr. Szeptycki, komendant legionów polskich, ustąpił ze swego stanowiska, mianowany przez rząd austriacki na miejsce gen. Kuka, gen. guber. okupacji austriackiej Królestwa Polskiego.



Brygadier Z. Zieliński został mianowany komendantem Wojska Polskiego, na miejsce ustępującego hr. Szeptyckiego.

## Z życia prowincyi.



Poświęcenie gospody Wojsk Polskich w Końskich.

ście uniwersyteckim. Młodość zasobna jest jednak w kawały i choć nędza piszczy — śmiech płynie wartkim strumieniem. P. Świdrygałło, p. Parabut, p. Chrzaskiewicz — to typy takie zwykłe na bruku miast uniwersyteckich na obczyźnie. Często zastawia się garniturek, by... pójść na maskaradę. Któż myśli o obiedzie? Jest to przesąd, który student często przesypia. Albo taki p. Himelfarth? Ilu takich panów przewija się przez kolonię polską? Wreszcie wszystkie te panny Mitzi, Fitzi czy Miss Mary, tajemnicza amerykanka — to jakby wieczne wspomnienia z Lipska, Mo-

nachium czy Hajdelbergu. Artyści Teatru Polskiego farsę tę grali doskonale. Szczególnie p. Zelwerowicz i Jarniński, nie mówiąc o dobrym Parabucie, p. Węgie. Wystawa i reżyseria bardzo staranne.

E. C.

**PORAD I WSKAZÓWEK** w zakresie racjonalnego stosowania zabiegów kosmetycznych przeciw: zmarszczkom, węgrom, piegom, opaleniznie, oraz pielęgnowania pięknych kształtów ciała, włosów, brwi, rzęs, rąk, paznokci udziela *Paszkowski, Marszałk. 113 m. 11. Od 10 — 12-ej.*

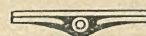
10276



W Końskich odprowadziły na miejsce wiecznego spoczynku tłumy publiczności zwłoki ś. p. St. Smerdzińskiego, bohatera walk o wolność w 1863-ym roku. Trumnę ponieśli żołnierze Wojsk Polskich, Warta Wojska Polskiego oddała nad grobem honory wojskowe.



Dnia 1 maja r. b. zmarł w Warszawie znany uczony polski i literat, dr. fil. Julian Ochowicz. Należał do rzędu tych badaczy, którzy idą przebojem w swoich dociekaniach naukowych. Urodził się w 1850 r. w Radzynie, ziemi Siedleckiej. Gimnazjum ukończył w Lublinie. Studia wyższe rozpoczął w Szkole Głównej. Na uniwersytecie lipskim zdobył doktorat filozofii. Utwory literackie podpisywał Ochowicz kryptonimem „Julian Mohort”. Spis prac jego obejmuje kilkadziesiąt tytułów, nie mówiąc o artykułach, których zmarły napisał tysiące. Ostatnio wydał dwutomowy zbiór swoich prac p. t. „Psychologia a Medycyna”. Ś. p. Julian Ochowicz w Polsce i poza granicami kraju był szeroko znany, jako oryginalny badacz zjawisk medycznych.



Znakomity środek odżywczy w wyczerpaniu fizycznym i umysłowym

# „ROBOROL”

Cena flakonu rb. i kop. 85.

poleca Apteka Tow. Akc. „Fr. Karpiński”  
ul. Mazowiecka № 10. 10238

## L. H. BAUER

Fabryka złota, srebra i dorajniku  
w liściach. DANIŁOWICZOWSKA № 4.  
Egzystuje od 1808 r. 10274

KRAWIEC DAMSKI

# Hipolit Kalinowski

Żórawia № 33, (dawniej Wspólna 30).

Nagrodzony wielkim złotym medalem na wystawie „Królestwo Mody” w Warszawie. 10252

Poleca wykwitną robotę kostjumów i okryć. Na składzie duży wybór materiałów na sezon wiosenny.

1866 r.

## F. WORONIECKI

WARSZAWA—CZYSTA № 2.

poleca w wielkim wyborze:

### ZEGARY, ZEGARKI, DEWIZKI

MODNE ZEGARKI W BRANSOLETACH I NA PASKACH PRAKTYCZNE DLA pp. WOJSKOWYCH.

Przy magazynie pracownia precyzyjnych robót zegarmistrzowskich. 10263

## PISMA

# Gabryeli Zapolskiej

|                                                     |     |      |
|-----------------------------------------------------|-----|------|
| Modlitwa Pańska. Z ilustracjami St. Sawiczewskiego. | Mk. | 2.50 |
| Pani Dulski przed sądem. Z ilustr.                  | „   | 1.50 |
| Ich czworo. Tragedya ludzi głupich w 3 akt.         | „   | 1.50 |
| Panna Maliczewska. Sztuka w 3 akt.                  | „   | 1.90 |

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach. 15017

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

ADAM SZELAŃGOWSKI

# Dzieje powszechne cywilizacji.

T. I. Egipt. Babilon i Asyrya. Syrya i Palestyna. Azja Mniejsza. Iran i Turan. Indye. Chiny i Pacyfik. Z 256 ilustracyami i 2 mapami.

T. II. Grecja archaiczna. Grecja bohaterska. Grecja wolna. Panowanie Grecji nad światem. Z 279 ilustracyami, 2 planami i 3 mapami.

T. III. Rzym — Miasto. Rzym — Państwo. Imperyalizm rzymski. Cezaryzm. Z 299 rysunkami, 2 mapami i 2 planami.

Cena każdego tomu Mk. 7.15.

Do nabycia we wszystkich księgarniach. 15015

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 5 maja 1917 roku

Nr 18.

## Dzieje polskiej myśli politycznej.

Naród sto lat zrywający się do walki o prawa swoje najświętsze, brutalnie gnębiony i nieraz poniewierany, jakąż mógł stworzyć sobie myśl polityczną? Czy posiadał specjalną metodę pracy społecznej? Czy potrafił organicznie stać się narzędnikiem, któreby, we właściwych pozostając rękach, stało się taranem czynu i słodkim głosem serdecznej pieśni? Samorządnie nasuwają się nazwiska Lubeckiego, Wielopolskiego, Lelewela i Zamoyskiego. Historia wieku ubiegłego zna jednak przede wszystkim nazwiska tak promienne, jak książę Józef, Mickiewicz lub Traugutt. Pamięta zasługę Kalinki. Boleje i chlubi się jasną a tragiczną postacią Adama Czartoryskiego. Worcell, Mochnacki, Mierosławski i Langiewicz czyż wyczerpują krwawą girlandę naszych dziejów bezpaństwowych i zamykają w zupełności księgę naszych wysiłków? Przyjdzie przecież wspomnieć i Staszycę. Wnieść na złotą tablicę mężów opatrnościowych nazwisko Wawrzyniaka. I wtedy jeszcze bujne i wartkie życie polskie wymknie się z pod kategorii — jak usuwało się z pod nóg tych, co brutalnie chcieli zgnieść każdą myśl naszą, wszelkie nasze poczynanie.

Na progu nowych dziejów świata i lepszej doli dla narodu naszego warto jest spojrzeć jednak wstecz. Stary wysiłek dobrą jest wskazówką, nauczy, jak myśl polska szukała dróg wyjścia dla rzeczywistości, jak politycznie rachowano i kalkulowano i jakie rezultaty otrzymaliśmy w realizacji. Programy polityczne i środki działania w zestawieniu naj-

lepiej okażą, gdzie leżała kość niezgody i czy należy tylko przypisywać naszej nieumiejętności tragizm i fatalność bytu naszego narodowego.

P. Wilhelm Feldman, zasłużony literat i publicysta, wydał obecnie próbę zarysu p. t. „Dzieje polskiej myśli politycznej”. Jest to na razie tom pierwszy, obejmujący dzieje naszej myśli politycznej do 1863 roku. Feldman nazywa książkę swoją analizą „powstania porozbiorowych orientacji politycznych”. Echa hasła Sejmu czteroletniego najgłośniej odezwą się w kościuszkowskim manifeście połanieckim, by później na wiek cały, na wszystką dolę czy niedolę narodu polskiego być pochodnią, gwiazdą — przewodniczą; albowiem rzekł Naczelnik: „W pogardzie śmierci jedyną jest nadzieja polepszenia losu naszego i przyszłych pokoleń. Pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest odważyć się być wolnymi; pierwszy krok do zwycięstwa — poznać się na własnej sile”.

Gdy doda się do tego myśl, iż „wiercono, że niejeden z zaborców ma interes w tem, by Polskę wskrzesić, jeśli nie w postaci państwa niepodległego, to w unii ze swojemi dzierzawami” (str. 6) — nie zdziwi nas wcale ani głęboka sympatya dla Francji, ani też rachuby na Rosję, jakie wtedy w Polsce żywiono. I wtedy panowało orientacyjne rozdarcie, ale instynkt państwowości był mocny, chęć ratowania ojczyzny zubożna i do poświęceń skora. Dąbrowski przechylił szalę ideałów na stronę francuską, ale mówi Feldman: „czas już największy zerwać

z sentymentem, prawiącym przez usta kulturalnych konserwatystów o powinowactwie duszy polskiej i francuskiej a przez usta postępowców różnego kalibru o idealistycznym stosunku wolnomyslicielstwa i rewolucji francuskiej do Polski” (str. 9). Znamienne też jest w tej sprawie i oświadczenie S. Askenazego, który dzieje stosunków polsko-francuskich zbadał gruntownie. Ze studiów swoich wyniósł on sąd:

„I otóż ten sam rząd, to samo państwo systematycznie przykładając się do podkopania w Polsce tych samych właśnie zasad państwowości i rządzenia, na jakich samo stało”.

Wynika z tego jasno i wyraźnie, że punkt ciężkości w rozważaniach musi być przesunięty na wolę i zdolność do życia a działania narodu polskiego. Dla tego też abstrahując od wszelkich możliwych konstelacji, racja Dąbrowskiego tkwi w innej myśli. Dąbrowski pisał: „Bez wytworzenia jądra armii polskiej ponowny wybuch powstania w kraju jest niemożliwym, mimo najusilniejszych zabiegów patriotów, chcących tego dokazać w granicach Polski. To jest wszakże niewątpliwą prawdą, iż tylko myśl rewolucyjna w Polsce może zniweczyć nowe kombinacje, snute przez koalicję państw północnej Europy” (str. 19).

Koncepcja gen. Sokolnickiego „barrière du nord”, rzeczposp. polska niepodległa przeciw Rosji, czyż w konsekwencji nie jest tą praktyczną ideą, którą Dąbrowski ocalił krwią swoich walecznych legionów i która do dziś dnia jest problemem polityki międzynarodowej, wysuniętej przez akt 5 listopada czy też przez hasło Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego o nowej, odradzającej się Rosji.

Aleksander I na kongresie wiedeńskim atut polski wziął w swoje ręce. Od 1815 r. do 1830 wpływy rosyjskie jednak nie omyliły zdrowego instynktu narodu. „Barrière du nord” zwraca się przeciw Rosyi, bo interes Polski wyraźnie wyklucza porozumienie. Nawet Staszyc wie, że „bez zwrócenia Polski, bez umocowania tej zapory Europa, a z nią Francya nie znajdzie stałego pokoju, Europa nigdy spokojnie uorganizowaną być nie potrafi” (str.35). Gwałtem znów Rosya odpowie na polskie domaganie się prawa, a r. 1830 przechylił szalę przemocy do tego stopnia, że dopiero obecna wojna wyrwie nas z pod przemożnego wpływu północnego kolosa.

Te lata szamotań się w rosyjskiej przemocy charakteryzują doskonale postacie: Lubecki i Łukasiński lub Wielopolski i Zamoyski. Instynkt organicznej pracy z chwilowym pominięciem lub niewysuwaniem żądań całkowitych politycznych w przeciwstawieniu do jasnej myśli państwowej polskiej toczy się równoległym korytem; z punktu ogólnego interesu rzeczy te były jednako racjonalne, choć bezwzględnie dziś widzimy, jak żywotną była i jest sprawa niepodległości naszej narodowej.

Podstawy elementarne chciał tworzyć i Lubecki, opierając się o lojalizm i zrozumienie karności państwowej. Myśl państwową nieprzejednaną symbolizował Łukasiński. Gotów był do wszelkich aliansów Ad. Czartoryski, byle przez Petersburg uzyskać prawnopaidstwowo zadośćuczynienia dla Polski. Na emigracyi, „król bez korony” z godnością reprezentować będzie wobec dyplomatów i dworów nieprzedawnione prawa państwowe i narodowe ze znikomym a może nawet i żadnym skutkiem. Na obczyźnie odwoływał się ks. Adam do sprawiedliwości, do wszelkich moralnych postulatów i chciał politykę prowadzić przez myśl o boskiej opatrności. Powaga jego moralna imponowała. Wysoko cenić kazała godność polską. Z tych samych głębin popłyną mesyaniczne tony „ksiąg pielgrzymstwa” czy wreszcie statutów komunistycznych Worcella. Tak demokraty, jak i konserwatyści pełnią idealizmu i wiary. Nawet Mierosławski nastrojony jest na ton podniosły. „Za naszą i waszą wolność” nie jest czczem słowem. To wiara. To pewnik oczywisty i nie wymagający dowodów.

W. Feldman te zasadnicze linie psychiki politycznej pokolenia emigracyjnego doskonale chwytą i cha-

rakteryzują. Programy działania, rachuby na ewentualne zatargi międzynarodowe, stosunek mocarstw do Polski, wszystko to znajduje w książce Feldmana plastyczne odzwierciedlenie. Jak rozwijały się też nasze orientacje zewnętrzne i jakich znalazły w Polsce reprezentantów, notuje Feldman skrupulatnie, ze szczególnym wyróżnieniem podkreślając pracę w tym kierunku hotelu Lambert, choć stary książę nie przeceaniał swoich zabiegów, skoro pisał: „Mało od narodów, jeszcze mniej od rządów spodziewać się możemy. Nad sobą pracować, siebie organizować powinniśmy”.

Autor „Dziejów polskiej myśli politycznej” w wielu wypadkach koryguje nieprzychylnie sądy o Alcyacie, Helmanie lub też oryginalnie charakteryzuje takie postacie, jak Mochnackiego, Mierosławskiego lub Worcella. Zna też doskonale myśl historyzoficzną polską tego okresu. Wczytał się w Trentowskiego, w marzenia słowiańskie Staszyc. Nie jest mu obcy żaden druk „Trzeciego Maja”, „Demokraty Polskiego”, „Kraju”, „Emigracyi” czy też „Słowianina”. Kuźnie polskiej myśli demokratycznej poznał źródłowo i nurt dążeń polskich przedstawia wiernie: zawsze bowiem myśl nasza prowadziła do wyjarzmiienia. Drogi były różne, ale bezwzględnie najracjonalniejsza, jak to wskazuje demokratyzacya obecna, prowadziła przez uznanie wraz ze „Stowarzyszeniem jedności narodowej” zasad:

- 1) równości wszystkich wobec prawa,
- 2) wolność ogólna osób, wiary i zdań,
- 3) własność,
- 4) nadanie własności włościom przy zabezpieczeniu praw nabytych,
- 5) jedność i tęgosc rządu.

Program ten wskazuje na polską rządność. Jeżeli nie sądzono nam było ująć zrazu losów państwa we własne ręce — to nie winimy tylko siebie. Gdy poznamy księgę „Dziejów myśli politycznej” — zrozumimy, że nie brak nam było energii, poświęcenia i zmysłu praktycznego. Grzechy nasze nie są cięższe od grzechów innych narodów. Wyróżnia nas bezwzględnie idealizm. Ten idealizm i wysoki poziom moralny odróżnia naszą myśl polityczną od wszystkich tych systemów, które wyhodowały stare despoty. Dziś w ogniu walk znikają one z powierzchni ziemi.

Nasza myśl polityczna nie opóźniała się w rytmie wewnętrznym z życiem w całej Europie. Społecznie.

o ile mogliśmy tylko, zawsze czyniliśmy wiele dla podniesienia mas, dla organizacyi duchowej i materyalnej naszego narodu. Stać nas było na rzeczy niezwykłe u innych narodów: umieliśmy sprawować rząd dusz przez nakaz tylko moralny. Potrafiliśmy i potrafimy dzielnie improwizować zamierzenia o doniosłości wielkiej. A glorię sławy i skrzydła prorocze przypinaliśmy zawsze tylko tym duchom, co w nieprzejednaniu bronili naszych nieprzedawnionych praw narodowych. Księga „Dziejów polskiej myśli politycznej” wskazuje na osobę-legendę, rycerza bez skazy, co honoru polskiego bronił z szablą w ręku, aż zmienił się w symbol walki i przeszedł do żywego wspomnienia w mazurku Dąbrowskiego lub też w zaklęciu księcia Józefa: Bóg mi powierzył honor polaków. Książka Feldmana sprawiedliwy sąd niesie też o Lubeckim. Poucza ona i zainteresowuje, a co najważniejsze, wyraźnie stwierdza słowa manifestu Tow. Demokratycznego:

„Gabinetowe układy nie przywrócą Polski, a monarchiczne wojny sprawiedliwości ludowi nie wymierzą” (str. 171).

Eustachy Czekalski.



## Hasło dla Legionów polskich.

*Idziemy w dal, idziemy w dal,*

*Idziemy w słońce,*

*Puklerzem naszym: tylko stal, tylko stal  
I serca gorejące.*

*A hasłem naszym: tylko Bóg, tylko Bóg,  
Ojczyzny miłość święta.*

*Niech zadrży więc przed nami wróg,  
[przed nami wróg,  
I miecz nasz popamięta!*

*Idziemy w bój, idziemy strzedz  
Przyszłości Polski nowej,  
Choćby w ofierze przyszło ledz.  
Składając Jej swe głowy.*

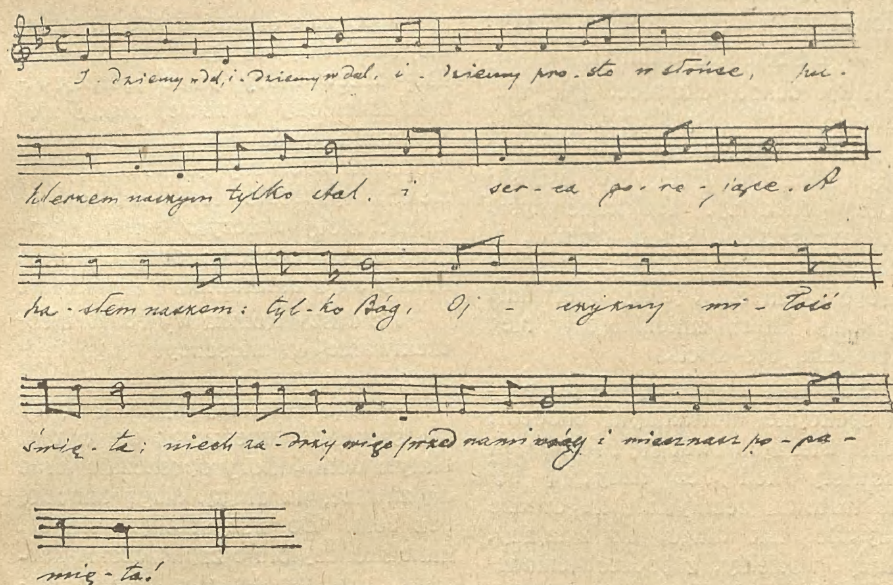
*Idziemy w dal i w boju zgrzyt,  
Ku jutrzni zmartwychwstania,  
By nastał nam wolności świt,  
Co z mroków się wylania.*

*Idziemy w dal, idziemy w bój,  
Ojczyźnie święty niesiem siew,  
Za wolność Jej dać krew i znój,  
To nasze hasło, to nasz zew!*

Anatol Krzyżanowski.

*Marsiale.*

*Melodia z r. 1812.*



Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

## KARYERY.

26

Lecz w państwie duńskiem jej duszy wszystko jeszcze kipiało. I trzymała się ustawicznie za bluzkę, z obawy, aby serce walące, jak młotem — nie wyskoczyło z piersi. Przypomina sobie różne szczegóły całej taktyki: Oto wtedy, kiedy w tym nieopuszczającym ją stanie chaosu wewnętrznej walki — biła się z myślami w powrotnej drodze z Oazowa do Jędrzejewic — matka i ciotka uważały za właściwe nie drażnić milczącej w powozie; nie badały i pozostawiły ją w zupełnym spokoju, aż „kaprysy“ miną.

Tylko ciotka Benisia przy wjeździe w królewską aleję — uważała za właściwe zwrócić uwagę:

— Moja Zosiu! Masz lepszy wzrok od nas starych; powiedz mi, kto tam siedzi na ławce? Zdaje się, że to mademoiselle Céleste? A ten ogień papierosa? Czy to ksiądz Zalewski, czy też pan Gleba? A może to ten idyota Zaremba? — tryumfowała ciotka Benisia, wyleczona już z sympatii dla nieśmiałego praktykanta, o którym doszły już do niej wieści folwarczne, że nie umie on trzech zliczyć jedynie w salonie z przyzwoitemi panienkami. Lecz pani Polewskiej nie zależało na skromnem lub niemoralnem prowadzeniu się młodego agronoma; sprzeciwiła się bardzo znacząco, odpowiednio do własnej dyplomacyi:

— Zdaje mi się, że się ciocia myli. Nie mogę dostrzedz twarzy; lecz ta postać nie wydaje się dość barczystą i krępą na Zarembę. Przeciwnie, to jakiś młodzieniec wysmukły i szczupły.

Ciotka Benisia, odgadłszy w mig tę polityczną orientację, godziła się, wbrew swojej mniej ważnej niechęci ku Zarembie:

— Tak, tak. Zdaje się, że to ktoś inny.

— Moja ciociu! Cóż to nas może obchodzić? — wykrztusiła Zosia kłamstwo, dostrzegłszy od pierwszej sekundy Romka. — Nie widzę do brze; zdaje się, że to pan Gleba.

— Ach! Stary donżuan! Muszę go porządnie skarcić za te nocne flirty po ogrodzie! — żarcikowała pani Polewska.

— Tak, tak. To zapewne Gleba — solidaryzowała bajecznie nie-szczerze ciotką Benisia.

Zosia zatrzęsała się teraz, jak w febrze, na myśl tak trafnie zorganizowanej akcji dyplomatycznej.

— Po co te kłamstwa? — zasyzczała w duszy — po co podwajać dozę piolunu?

— Przecież widzą doskonale, że ja jestem już w zupełności wyleczona. Wygraliście!

Nazajutrz wczesnym rankiem ciotka Benisia wezwała na audyencję Romka, który nie dziwił się już ni-

czemu, przekonany, że wszystko teraz się zawali.

Oświadczyła mu krótko, że plany pani Polewskiej zupełnie pokrzyżowały się, że jest ona zmuszoną skrócić pobyt w Jędrzejewicach; dlatego na ostatnie dni chce przerwać zajęcia chłopców, którzy więcej korepetycyi pobierać nie będą.

Wyplaciła mu honorarium i zapraszała na obiad, oświadczając, że przecież pospieszny pociąg do Warszawy odchodzi dopiero przed wieczorem.

— Wyrzucają mnie, jak psa — hamował się z całych sił Romek, zaciskając do krwi wargi, trzęsący się, czerwony, jak burak, z obawy, aby nie wybuchnąć. — Prosiłbym o konie na rano. Muszę odwiedzić mieszkającego na stacyi kolegę szkolnego. Chciałbym jedynie — wyzywająco rzucił bardzo podniosłym głosem, paląc za sobą mosty — pożegnać się z panną Zofią.

— Zosia — niestety — czuje się niezdrową i będzie przez cały dzień niewidzialną. Polecila mi zwrócić panu te oto książki.

— Dziękuję.

Mimowoli otworzył książkę; dojrzał w niej adresowany do niego jej liścik. Pospiesznie zamknął okładkę książki.

— Żegnam panią — musnął ciotkę lodowato w rękę.

— Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze jutro przy śniadaniu.

— Niestety! Zajęty pakowaniem, nie zdążę już zejść na dół. Wypiję ranną herbatę u siebie w pokoju.

— Ha! Jeżeli pana towarzystwo starych kobiet nie nęci, nie śmiem zatrzymywać.

Pobiegnął na górę, jak szalony; drżącymi rękami rozdarł kopertę, przycisnął arkusik do ust i, starłszy ostrożnie łzę, która na papier spadła — czytał:

„Dziękuję za książkę. Psychologia bohaterów powieściowych z jednej sztuki spiżu i bohaterów wogóle — różni się ogromnie od skomplikowanej psychologii ludzi żywych. Tylko małe dzieci mogą solidaryzować i współczuć smutkom i radościom swoich lalek, które traktują na seryo. My, dorośli, pojmujemy, że życie nie jest pięknym romansem, jeno mrowiskiem; a my nie jesteśmy bohaterami, lecz małemi gryzaczami się wzajemnie mrówkami, które wielkiego szczęścia nie są godne. Chodzi jedynie o to, aby życie było jak przeszło. Nie warto ono ani wielkich zachodów, ani ofiar. Zresztą nikt nie jest zdolny do wielkich ofiar. Niema też godnych, dla kogo wartoby ofiary ponosić. Niema też

ani celu ofiar, ani ołtarzy. Trzeba wszystkim wszystko przebaczać dlatego, aby i nam wszystko przez wszystkich było przebaczone. Z całego serca życzę panu szczęścia w życiu. Sądzę, że się w Warszawie spotkamy. Błagam pana o jedno: Proszę mi nigdy nie wspominać o przeżytych razem dniach bajki Jędrzejewickiej“.

Składał starannie arkusik listu do koperty, jak do trumny, i wraz z kopertą złożył go w szkatułce pamiętek po umarłych, jak w katakumbach.

— Bajka się skończyła! — otarł sobie chustką oczy i nos; i począł gorączkowo wrzucać bieliznę, ubrania i książki do walizki.

Tak. Skończył się romans; skończyła się poezja, młodość, marzenia — wszystko. Pozostało jedynie — życie. Chodzi o to — cytował jej słowa — aby ono byle jak przeszło!

— Smutno! — buntował się ostatnim jękiem przeciwko tej tragicznej rezygnacji ze szczęścia.

Oczy znowuż ostatnimi niemęskimi łzami mu zasły; składana do kuferka bielizna z rąk mu wypadła i, ani spostrzegł, jak stary Tomasz z filiżanką na tacy w ręku pocziwie głową kiwał, odgadując intuicyjnie wszystko:

To te srebrzące się o białym zachodzie słońca jędrzejewickie brzozy z cudnymi dźwiękami szmerów liści, to te oberwane z kory aż do rubinowej krwi sosny, to te szmaragdy zacisznych polan, wonie kwiatów, świergot ptactwa i dalekie dźwięki pastuszych fujarek — kuszą młodych do szczęścia, bez żadnych zastrzeżeń, bez względów ugody, bez motywów wyrozumiałości!

Już od całych pokoleń widział stary Tomasz te harce niewyrozumiałego Amora, te młodzieńcze bunt przeciw kajdanom, których przezwyciężać nie dało się. I przestawszy solidaryzować z batogiem ciotki Benisi, która potoki życia zawsze zwyciężała — pytał wyrozumiale:

— A może panicz napije się. To nie herbata: zaparzyłem kwiatu pomarańczowego.

— Dziękuję wam, Tomasz. Już czas mi w drogę. Czy bryczka już zajęta?

— Stoi przed gankiem. Zniosę kuferek — łasił się pocziwie do Romka.

Romek poklepał go po ramieniu; pogłaskał psa, z którym zaprzyjaźnił się bardzo w Jędrzejewicach, a który skowyczał teraz i rwał się do niego, wstrzymywany za obrozę przez starego Tomasza.

Romek wskoczył do bryczki; rzucił ostatnie spojrzenie ku oknom martwym o storach zapuszczonych. Tomasz otulał mu nogi derką i pocałował go w rękę. Konie ruszyły:

— La comedia e finita.

Miał ochotę skomleć, jak niemowlę, lub jak mały szczeniak. Czuł, że jedynie płacz mógłby mu sprawić ulgę. Lecz męski jego ból był silniejszy ponad łzy. Tragiczne myśli, jak rozpuszczone stado kruków, w mózgu mu szalały. Czuł, że stał się w jego życiu etap, jakby oberwanie się skały, która zmieniła cały bieg strumienia jego życia.

Strumień ten nie będzie już płynął spokojnie, normalnym chodem; będzie wierzgał, rwał się i pienił, jak narowisty koń bez uzdy; i będzie trącił bezmyślnie na drodze wszystko, tak długo, aż zziąjany, drżący, wściekły, z poczerwienionymi ślepiami — runie sam w przepaść, lub leć sobie o jaką przeszkodę bezmyślnie rozbije.

Dokoła ranna cisza. Cała natura, jakgdyby kułakiem — wyciera sobie zaspane oczy. Przed chałupą jakiś chłop, ziewający — rozciąga ze snu ręce. Jakaś baba rozwiesza na sznurach poduszki. A uśpiona ziemia, która ukrywała pod całunem wszystkie swoje bóle — teraz rankiem zdradza się rozlaniami nieopatrznie na kwiatach łzawymi perłami rosy...

Rozejrzał się martwym okiem dokoła: w swoim szczęściu — nie zastanawiał się, że w życiu, jak w nakreślonym kalejdoskopie — przewracają się ustawicznie zmieniające się sekunda za sekundą figury, nastroje, pejzaże. Jak w perpetuum mobile, którego nawet przy najpiękniejszych i najciekawszych momentach zatrzymać nie można...

Ani spostrzegł przez ten czas dwóch miesięcy, że dokoła znikło już lato. Teraz panoszyła się w jego smutnych oczach jesień z przepychem swoich żółtych liści, które, jak złote dukaty z bajki — spadały na głowę.

Zdała śród lasu na tle wiecznie jednakowo ciemno-zielonych zimnych sosen — pożółkłe wierchołki drzew płamiły się, jak wielkie bukiety żółtych jaskrów, złocieni i chryzantem.

W jaskrawo-srebrnym oświetleniu słońca, które paliło, lecz nie grzało, blade-turkusowe niebo odbijało się w stawie, przybranym w szatę z rozpuszczonych szmaragdów; a dokoła pola nagie, jak pustynia...

Przed chatami w grządkach chełpiły się swoim martwym prze-

pychem barw astry i georginie, tak sztuczne, tak bezwonne, tak smutne, że patrzeć na nie aż za serce coś ścisnęło.

I po raz ostatni ujrzał w dalekiej perspektywie ogołoconych już z liści drzew stary pałac jędrzejewicki, zmieniony w nowej szacie niezauważonego dawniej dzikiego wina, które, zarzuciwszy jednotonną swą zieleni, błyszczało teraz cudną mozaiką: złoto walczyło barwą z nakrapianym bronzem; owdzie korale klóciły się z amarantem i z rubinami.

I z duszy Romka wyleciała nieoczekiwane kwintesencja jego rozpaczliwych myśli:

— Oto zrodzony byłem jedynie dla szczęścia przeżytych dni w tym białym domu, który opuszczam teraz na zawsze, na długą, długą tułaczkę bez celu. Bo wszystko już się dla mnie skończyło. Po zapuszczeniu kurtyny, czy nie lepiejby odejść, zamiast się ziębić w tej pustce?

Przyłożył chustkę do oczu i zasłochał dziecięcimi łzami. Lecz wnet, zawstydzony swoim brakiem męskości, rozpatruje się badawczo dokoła nieobeschłemi jeszcze oczyma.

Ucichło ptactwo; zamarły motyle. Ani szelestu liści, ani świergotu ptaszków, ani fletowego świstu muszek i owadów. Jakgdyby natura usypiała świat do snu szeptem:

— Cicho, cicho, cicho...

— Przecież to jest już koniec wszystkiego? — zawodził dziecinnie, jakgdyby żalił się przed matką. — Więc po co to karykaturalne słońce, te kabotyńskie tragiczne kolory astrów i georginii na tym pogrzebie?

— To nie śmierć! To sen tylko. To wszystko na przyszły rok ożyje.

— Ożyje? Tak, lecz już nie te same kwiaty, nie te same ptaki i motyle! I te inne znowuż umrą, po cierpieniach, walkach i zawodach, któremi hojnie opłacać muszą chwile swego rozkwitu i szczęścia. A potem znowuż inne się narodzą, jak w kalejdoskopie, nakreślanym ręką niezmordowanego maniaka.

Na tle szerokiej wsi zaczętnął się harmonijny sztafarz cieniutką sylwetą księdza Zalewskiego, powracającego piaszczystą drogą z folwarku ku plebanii.

Dalszy ciąg nastąpi.



# Malczewski.

(Fragment z poematu dramatycznego).

Rzecz w Wenecyi. Rok 1918, karnawał.

## O S O B Y.

MALCZEWSKI.  
BYRON.  
HRABINA GUICCIOLI.  
ESTERHAZY.  
MASKI.  
FANARYOCI.  
KARBONARY.

Malczewski stoi samotny. Na scenę wchodzi tłum masek i osób rozmaicie przebranych. Niektóre maski stanowią jakby odrębne — dość jednorodne grupy: są to Karbonary i Fanaryoci. — Prócz masek — pewna liczba osób w zwykłych kostjumach podług mody ówczesnej: między innymi Esterhazy, który zbliża się do Malczewskiego i wita go serdecznie.

CHÓR MASEK. (Muzyka i śpiew).

## I.

Czy znasz weneckie zapusty?  
I w noc i we dzień  
Wesołe — szalone — przednie.  
Maska twarz kryje — a kto się spyta,  
Skąd my i czyje, — tego przywita  
Wrzawa, śmiech pusty.  
Żywo, radośnie,  
Skrycie, miłośnie  
Staruszek doża — arlekin młody,  
Dziewczyna hoża szuka osłody —  
Matrony — oszusty  
Swobody!  
A kryte łodzie  
Czernią na wodzie:  
Wrzawa, śmiech pusty!  
Czy znasz weneckie zapusty? \*)

## II.

Czy znasz weneckie zapusty?  
I w noc i we dzień  
Tu bunt szatom sąsiednie!  
Pod maskarady larwą szaloną  
Masz barykady grozę tajoną!  
Wrzawa, śmiech pusty  
Pokrywa spiski,  
Ogień, pociski!  
Tu wielkie cnoty, strojne w maskary —  
Tu fanaryoty i karbonary —  
Na dzień niosą blizki  
Sztandary!  
W maskach narody  
Krzyczą: swobody!  
Wrzawa, śmiech pusty.  
Czy znasz weneckie zapusty?

Taniec — maski rozchodzą się grupami po scenie — to znów opuszczają scenę, wracają i t. d.

## ESTERHAZY.

Witaj, panie Malczewski. Karnawał wenecki  
Ma widzę i dla ciebie jakiś czar zdradziecki.  
Bo chociaż melancholik, jednak z jakąś maską  
Krażyłeś, co cię jawnie darzyła swą łaską.  
I cóż z tą tajemniczą stało się niewiastą?

## MALCZEWSKI.

Chwilowo była tutaj; chciała poznać miasto:  
Była to pewna dama, nieznana mi prawie,  
Spotykałem ją niegdyś w salonach w Warszawie.

## ESTERHAZY.

A teraz widzę znowu, że jesteś samotny.  
I cóż z nią?

## MALCZEWSKI.

Odjechała.

## ESTERHAZY.

Co za los przewrotny!  
Znajdź inną! tutaj masek napotkasz tysiące,  
A w każdej bije serce tkliwe, kochające.

## MALCZEWSKI.

Przybyłem tu niedawno. Byłem nad jeziorem  
Genewskiem. Od tam paru zerwałem z Amorem.

## ESTERHAZY.

Ach, co za melancholija! Co za cnota święta!

## MALCZEWSKI.

Znudziły mi, nie nęca mnie zgola dziewczęta.  
Pragnąlbym raczej umysł nauką pożywiać,  
Poznać wielkiego męża, aby go podziwiać.  
Zapewne są tu barwne dokoła obrazy,  
Ale mnie to nie bawi. Hrabio Esterhazy,  
Mam tu właśnie do ciebie tiścik. Dama pewna,  
Którąm poznał w Szwajcaryi, twą daleką krewną,  
Mówiła, że się szcycisz przyjaźnią Byrona:  
Zechciej mię mu przedstawić. Dobrze?

(Daje mu kartkę księżny).

## ESTERHAZY.

Ach, to ona!  
Moja piękna kuzynka. Iście warta grzechu!  
Ale źle wyszła zamaż. W największym pośpiechu  
Esterhazy życzenia tej pani wykona.

.....  
.....  
.....

Wnet cię z Byronem poznam. Spójrz na te maski  
I uważ, jak się w szereg ustawiają ścisły.  
To znak, że Byron blisko. Skupione umysły  
Czekają go jak władce, czyli wesół, czyli  
Zasmucony. A właśnie Byron o tej chwili  
Przy dźwięku jakiejs skocznej, milej barkaroli —  
Płynie wielkim kanałem z hrabiną Guiccioli —  
Swą kochanką wenecką. Już jest tutaj blizki —  
A z nim idzie szaleństwo — i taniec — i spiski.  
Bo choć tego nie widzi wraza soldateska,  
Wiedz, panie, że my żyjemy tu sposobem Fiesca.

Dalszy ciąg nastąpi.

\*) Wiersz A. Malczewskiego.



Powszechnie wiadomo, że Warszawa nie jest miastem muzycznym. A jednak i w syrenim grodzie znaleźć można typy nałogowo muzyczne, namiętnie oddane dźwiękom i zazdrośnie strzegące tajemnic swoich wzruszeniowych. Opera i Filharmonia gromadzi te nieliczne zastępy. Są to ludzie o wieku nieokreślonym: znaleź bowiem łatwo głowy siwe, łysy, jak i młode niesforne czupryny. Płeć piękna jest tu w mniejszości, aczkolwiek zdawaćby się mogło, że eteryczna kraina tonów przedewszystkiem zwabi duchy co lepsze. I w tym świecie czyстых wzruszeń i ukochań niematerialnych istnieją partye i kapliczki. Bethovenista patrzy z lekceważeniem nieraz na Puccinistę, a Chopinista na Wagnerzystę czy Straussystę. Hubermann ma swój ołtarzyk i dociera do tych dusz, przed którymi z respektem jeszcze stoi karkołomne kantilena Burmestra. Pani Landowska gra orbi et urbi na swoim klawicymbale, a prof. Melcer wśród karnych szeregów peowiackiej drużyny znajduje posłuch rytmiczny a pełny.

Rząd dusz bezwzględny sprawuje tylko p. Birnbaum. Pod jego pałeczką śpiewa Bethoven tak siarczyście, że sam Ryszard Strauss gotów jest przyznać się do tych fortissim, bębnow i trąb. W p. Birnbaumie kocha się muzyczna Warszawa, tęskniąc zrzadka za Dołyckim i oczekując od p. Mazurkiewicza, że nie tylko operze poświęci swoje poczucie rytmu i taktu. Szecherezadą tajemnic i cudów jest świat muzyczny warszawski, a typy muzyczne Warszawy — to właśnie egzotyczny świat bajki wschodniej. Na każdym koncercie piątkowym znaleźć można te dziwne twarze. Nie szukajcie ich w pierwszym rzędzie krzeseł. Dopiero od 6, 7 spotkać można te wniebowzięte oblicza zasłuchane, skupione, a niekiedy zirytowane, złe i żółcią przepojone. Oto dwóch starszych panów o gustach polifonicznych: jeden łysy a drugi brodaty ze szklami na oczach. Patrzą na siebie, jak zgodnie żyjące małżeństwo. Z muzyki solowej tolerują tylko Hubermanowskie skrzypce. Spotkać ich można zawsze w Filharmonii i patrzeć na nich do woli. Gdy Hubermann zamknie oczy i rozśpiewa swoje skrzypce mendelsonowską skargą — pan z brodą spojrzy porozumiewawczo na łysego pana.

Łysy pan kiwnie poważnie głową i zacznie wymachiwać takt dużym palcem zarośniętej ręki. Za chwilę to spojrzenie słodkie i lubieżne powtórzy się, twarze starszych panów sielsko się wyanielą. Albo młodzieniec uzbrojony w partytury stale stuka ołówkiem, stale gestykuluje, pomaga p. Birnbaumowi. Nad nim, koło niego gromadka kibiców muzycznych też zasłuchanych, też dyrygujących. Gdy p. Birnbaum wydobędzie pałeczką jakiś frazes muzyczny — to młody partyturzysta patrzy nań tak, jakby podziwiał salto mortale lub polknięcie ognia. W rezultacie jednak w czasie przerwy słyszy się głośne perorowanie:

— Jak ten Birnbaum stylowo dyryguje!

Panie i panny zachowują się naogół też głośno, ale są mniej wymagające. Najbardziej umuzykalnione w antrakcie prowadzą dyskurs z p. Kazuro, śpiewakiem poleskich rozlogów. Najmniej jednak muzyczne mają największe brylanty i najwyższe cholewki i bucików.

Znaleźć zrzadka też można twarz zasłuchaną, oczarowaną dźwiękami. Spotkać ją można w krzesłach tańszych. Skromna sukienka nie mówi zgola nic o skarbach duszy, wypełnionej po brzegi melodią, rytmem i brzmieniem. Nieładna twarzyczka jest tak uduchowiona, że sam Botticelli malowałby ją z nabożeństwem. Nie wypowiada swoich sądów, nie tłoczy się, nie narzuca, gdyż podobno... jest nauczycielką muzyki.

Pierwsze rzędy krzeseł obfitują za to w typy zupełnie egzotyczne. Ciągłe je spotykam na koncertach i ciągle w nie patrzę z rozrzwiniem. Szczególnie

jeden pan zainteresował mnie swoją wiernością dla Bethowena. Znam go, więc zapytałem kiedyś:

— Jak się podoba panu 5 symfonia?

— Tak jak i pierwsza — odrzekł roztargniony.

— Ja wolę piątą...

— A mnie to wszystko jedno, jaką symfonię grają, byle była na koncercie ta śliczna, uśmiechnięta, czarnowłosa osoba.

— Rozumiem pańskie gusta, odpowiedziałem, gdyż, istotnie, wskazana osoba była piękna.

Rozkrochmalony mojem ciepłem wyznaniem „muzyczny” pan powiedział mi szepem:

— Ja panie nie umiem powtórzyć najzwyklejszego frazesu muzycznego. Nie rozróżniam prostego walca od polki. Ach, panie, ale czego się nie robi dla pięknej kobiety!

*Firlej.*

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

## W oczach Zachodu.

16

POWIEŚĆ.

— Potwarz, to także broń naszego rządu. Rzecz znana. O tak, faktem jest, że ojciec Zosim był protegowanym pewnego generał-gubernatora. Pamiętam, że rozmawialiśmy o tem przed dwoma laty z moim bratem. Ale pracował z pożytkiem. A teraz jest wygnańcem. Jakiegoż lepszego dowodu można żądać? Zresztą, mniejsza o tego księdza. Wszystko to nie dotyczy przyjaciela mego brata. Jeżeli go tam nie spotkam, dowiem się jego adresu. A później i mama musi go poznać. Kto wie, co on nam może powiedzieć. A jakieżby to było dobrodziejstwo dla mamy, żeby ją się mogło uspokoić. Pan wie, co mama sobie wyobraża. Może znajdzie się jakie wyjaśnienie... lub... wymyśli się je. To przecież nie byłoby grzechem.

— Z pewnością, że nie — odparłem. — Ale mogłoby być błędem.

— Ach! jacy tylko chciała, żeby mama odzyskała choć trochę moralnej równowagi. Dopóki jest w takim stanie, o niczem spokojnie pomyśleć nie mogę.

— Panj chcesz wymyśleć jakieś pobożne kłamstwo dla matki? — zapytałem.

— Dlaczego kłamstwo? Taki przyjaciel z pewnością widywał mego brata w ostatnich dniach... Może nam powie... Bo jest w tem wszystkim coś, co mi nie daje spokoju. Jestem pewna, że brat mój miał zamiar przyjechać tu do nas... że miał jakieś

rozległe patryotyczne plany, nietylko dla siebie; ale dla nas obojga. Ja tak liczyłam na to... Tak tego wyglądałam. Och!.. z taką nadzieją i niecierpliwością... Byłabym pomagała... A tu nagle taka pozorna lekko-myślność, jakgdyby nie dbał...

Umilkła; poczem powtórzyła uparcie:

— Chcę się dowiedzieć.

Wracając do domu, zastanawiałem się, czego właściwie chciała się dowiedzieć. To, co mi o niej było wiadomem, dawało mi klucz do tej zagadki. W zakładzie, w którym panna Haldin kończyła nauki, patrzano na nią niechętnym okiem. Podejrzewano ją, że ma swoje własne zapatrywania na sprawy, które władze szkolne rozstrzygnęły zdawna w oficjalny sposób. Następnie, gdy obie z matką wróciły do siebie na wieś, zjednały sobie wkrótce opinię wolno-myślnych. Trojka miejscowego kapłana żandarmerji zaczęła zjawiać się często w ich wiosce.

— Muszę mieć oko na chłopów — tłómaczył ów swoje odwiedziny. — A dwom samotnym damom należy się też pewna opieka.

I patrzył na ściany, jakgdyby je chciał przebić wzrokiem, przeglądał książki i fotografie w salonie, i ugoszczony według zwyczaju odjeżdżał. Ale pewnego wieczora stary pop wiejski przyszedł ogromnie wzburzony i oznajmił matce i córce, że jemu, księdzu, polecono śledzić je,

a także wpływać na służbę, by mu donosiła, co się dzieje w domu, jak goście i jak często bywają i tem podobne.

Biedny, prostoduszny staruszek był poprostu zmiążdżony.

— Przyszedłem ostrzedz pannie — mówił. — Na miłość Boską bądźcie ostrożne w postępowaniu. Pałę się ze wstydu, ale niema rady i będę musiał donieść mu, co zobaczę, bo jeżeli ja tego nie uczynię, to mnie wyręczy mój dyakon, i jeszcze co dołoży, aby się przypodchlebić. A mój zięć, mąż mojej Soni; toż on jest rządowym urzędnikiem... niechybnie by go wyrzucili, albo jeszcze i zesłali. Ja też, Boże odpuść, nie życzę sobie, by mi na stare lata ogolono głowę i osadzono na pokucie w jakim klasztorze.

Lamentując w ten sposób, popłynał aż się rozplakał i obie kobiety, zdjęte litością, starały się uspokoić go zapewnieniami, że ich postępowanie w niczem go narazić nie może, a co się tyczy gości, to tak dobrze, jak ich nie przyjmują, co było prawdą. Sąsiedzi, a nawet dawniejsi przyjaciele, zaczęli ich unikać, jedni z obawy, inni z wyraźną pogardą dla ich postępowych przekonań.

Stosunki pomiędzy matką a córką były jaknajserdeczniejsze; lecz ta serdeczność nie mogła zapełnić życia młodej, entuzjastycznej, żadnej czynu dziewczyny, jaką była Natalia Haldin. Jasnym punktem jej marzeń o przyszłości był szlachetny, mieszkający w Petersburgu brat, a jego odwiedziny i długie z nim rozmowy o wszystkich zakazanych ideałach ludzkości krzepiły ją na duchu i wypełniały nadzieją. I oto nagle wszystko to prysło, jak bańka mydlana. Pozostał tylko nagi, niepojęty fakt jego śmierci. Natalia Haldin uczuła się opuszczoną bez słowa wyjaśnienia. Lecz nie straciła wiary w niego i dlatego za wszelką cenę pragnęła dowiedzieć się, w jaki sposób ma pozostać wierną jego pamięci.

#### IV.

Kilka dni minęło, nim spotkałem Natalię Haldin. Przechodziłem placem na wprost teatru, gdy dostrzegłem jej kształtną postać wchodzącą w bramę miejskiego ogrodu. Postanowiłem iść nie przyspieszając kroku. Jeżeli zawróci w końcu alei, to się spotkamy, a jeżeli nie... ha! to trudno. Aczkolwiek pragnąłem gorąco powstrzymać ją od zetknięcia z panną de S... i jej satelitą, czułem doskonale, że mi się to nie uda. Byłem Zachodniowcem, i panna Haldin nie usłuchałaby moich rad, a co się tyczy przyjemności, z jaką ją słuchałbym

jej głosu, to powiedziałem sobie, że będzie lepiej i w tym względzie zachować umiarkowanie. Dlatego szedłem z wolna i przestrzeń pomiędzy nami zwiększała się coraz bardziej, lecz gdy zobaczyłem, że zawraca i ku mnie idzie, ucieszyłem się, jak młokos.

Powietrze tchnęło wiosenną rzeźwością. Błękitne niebo było chłodne, ale młodziuchne listki, niby miękka mgła, otulały drzewa alei, a jasne słońce rozpalało złote punkciki w szarych oczach panny Haldin zwróconych ku mnie z przyjaznem powitaniem.

Zapytałem o zdrowie matki.

Wzruszyła zlekka ramionami i westchnęła smutnie.

— Widzisz pan, wyszłam trochę na przechadzkę.

Uśmiechnąłem się; ona zaś dodała niespodzianie:

— Co za precudny dzień!

W jej świeżym głosie dzwijało szczere przekonanie. Ucieszyłem się. Było to, jakgdyby ta dziewczyna odzyskała świadomość swej młodości i przez jej czarodziejskie szkła patrzyła na ten dzień tak chłodny jeszcze i na ten zacieśniony alpejski horyzont, nagą ścianą Jurajskich gór zatarasowany. Tak; wiosna i jej urok były w niej samej i rad byłem, że uczuła to, choćby chwilowo.

— Cieszę się słysząc panią mówiącą w ten sposób.

Spojrzała na mnie przelotnie. Przelotnie, ale nie ukradkiem. Ukradkowość była czemś zgoła dla niej niedostępnem. Sam jej chód tchnął szczerością. To ja, patrzyłem na nią kryjomą, jeżeli to tak określić mogę. Wiedziałem, gdzie była, ale nie wiedziałem, co wiedziała i słyszała w tem gnieździe arystokratycznych spiskowców. Używam nazwy arystokratycznych w braku lepszego określenia. Château Borel ukryty w drzewach i zaroślach swego zaniedbanego parku miał swoją sławę w naszych czasach, jako rezydencya innej niebezpiecznej wygnanki, panj de Stael, w epoce napoleońskiej. Tylko, że napoleoński despotyzm, dziedzic rewolucyi, który uznał tę intelektualną kobietę za wroga godnego uwagi, był czemś zgoła innem, niż w mistycyzm przybrana autokracya, poczęta z niewolnictwa Tatarskiej zdobyczy. A i panny de S... daleko było do utalentowanej autorki Korynny. Dama ta opowiadała na wszystkie strony o prześladowaniach, jakich była przedmiotem. Co do mnie, nie sędzę, żeby ją uważano za niebezpieczną w pewnych kołach. I śledzić też ją było trudno, chyba bardzo zdaleka; Châ-

teau Borel bowiem znajdował się całkiem na uboczu i sam w sobie, dzięki czemu stanowił idealną ostoję dla wszelkiego rodzaju spisków. Ale wszystko to nie obchodziło mnie. Pragnąłem tylko wiedzieć, jakie wrażenie ta osobiwsza atmosfera i jej niemięjsi osobliwi mieszkańcy wywarli na pannie Haldin, osobie tak prawej, tak szczerej, ale tak niebezpiecznie niedoświadczonej. A wchodził też tu w grę i ów przyjaciel jej brata, świeżo przybyły z Rosyi. Ciekawy byłem, czy go poznała.

Czas jakiś szliśmy obok siebie w milczeniu.

— Wie pani — zacząłem nagle — jeżeli pani nie ma mi nic do zakomunikowania, proszę mi to otwarcie powiedzieć, a wtedy, oczywiście, przejdziemy nad tem do porządku dziennego. Ale na ogólnikach nie poprzestaną. Mówię to panj wręcz. I proszę o szczegóły.

Uśmiechnęła się zlekka.

— Jesteś pan ciekawy, jak dzieciak.

— Nie. Jestem tylko zaniepokojony, jak starzec — odparłem poważnie.

Popatrzyła na mnie, jakgdyby chciała się upewnić co do stopnia mego niepokoju lub ilości moich lat. Nie miałem nigdy ruchliwej, wyrazistej fizyognomii, tak mi się przynajmniej zdaje, a co się tyczy mego wieku, nie jestem jeszcze dostatecznie sędziwym, by to było w oczy. Niemam długiej brody, jak pobożny pustelnik z romantycznej ballady; nie chwieję się na nogach chodząc i wogóle nie wyglądam na czcigodnego mędrca. Wszystkie te malownicze cechy nie są moim udziałem. Jestem stary, niestety, ale jeszcze krzepki i jak to mówią, dobrze zakonserwowany. A jednak wydało mi się, że w przeciągu spojrzenia panny Haldin mignęło coś nakształt litości.

Przyspieszyła nieco kroku.

— Pytasz mnie pan o szczegóły. Dobrze. Zapamiętałam je na zawsze chyba. Wszystko to było taką nowością, dla takiej wieśniaczki, jak ja.

Po chwili milczenia zaczęła swe opowiadanie, mówiąc, że Château Borel był zarówno zaniedbanym wewnątrz, jak na zewnątrz. I nie dziwnego. Zbudował go jakiś hamburski, wycofany z interesów bankier, by cieszyć się spokojną pięknoscą genewskiego jeziora na stare lata. Ale umarł wkrótce. Żona jego wyjechała do Włoch i pałac stał pustką mi bardzo długo. Dochodziło się do niego żwirowanym podjazdem, okalającym zapuszczony trawnik.

Panna Haldin wstępując na taras zauważyła kępy zielonego mchu porastające szerokie, kamienne schody.

Drzwi frontowe stały otworem. Wszedłszy do środka panna Haldin znalazła się w obszernym, zupełnie pustym hallu, z którego kilkoro pozamykanych drzwi prowadziło w głąb. Szerokie, kamienne schody wprost wyjścia wiodły na górę. Stała, jakby onieśmielona trochę tą pustką i ciszą, ale po chwili usłyszała głos jakiś, niewiedomo skąd dochodzący. Głos ten mówił bezustanku.

Nie mogła rozpoznać w jakim języku, po rosyjsku, po francusku, czy po niemiecku. Nikt nie odpowiadał. Ktoś niewidzialny mówił sam, z małemi przestankami. Było coś przejmującego dziwnym smutkiem i beznadziejnością w tej gadającej, monotonnej pustce.

Panna Haldin nie mogła się zdobyć na otwarcie którychś drzwi i miała chęć zawrócić i odejść niesposłuszenie, jak przyszła.

— Doprawdy! Miałaś panj tę chęć — zawołałem z żalem. — Jaka szkoda, żeś jej nie wprowadziła w czyn.

Wstrząsnęła głową.

— Nie... nie mogłam odejść pod takim wrażeniem. — Ta pustka, ten głos jednostajny, jakby tajemniczy nie osobisty, i nikogo — ani żywej duszy! Nie; nie uciekłam. Zostałam i — zobaczyłam żywą duszę. Taką dziwną duszę.

Gdy patrzyła na schody wymiarkowawszy, że głos pochodzi gdzieś z góry, usłyszała szelest sukni i obejrzawszy się, zobaczyła postać kobiecą, która musiała wyjść przez jedne z owych drzwi i szła hallem, nie spostrzegłszy zrazu panny Haldin.

Ale gdy podniósłszy głowę ujrzała obcą osobę przestraszyła się bardzo. Zdaleka wyglądała na młodzieńką dziewczynkę, ale jej prawie po dziecinnemu okrągła, drobna twarzyczka była poorana zmarszczkami, a ciemne obwódki podkrywały oczy. Gęste, kasztanowate włosy miała rozdzielone po męsku i gładko na czoło zaczesane. Popatrzywszy na pannę Haldin w milczeniu przykucnęła nagle na ziemi.

— Jakto, przykucnęła? — zapytałem zdziwiony.

Panna Haldin wytłómaczyła mi ten szczególny postępek. Osoba ta niosła miseczkę z mlekiem i przykucnęła na intencję dużego kota, który ukazał się z po za jej spódnicy i łakomie zanurzył głowę w naczyniu. Kobieta powstała i zbliżywszy się do

panny Haldin zagadnęła z pewną szorstkością:

— Czego pani chce? Kto pani jest?

Panna Haldin wymieniła swoje nazwisko i Piotra Iwanowicza. Dziewczęca staruszka kiwnęła głową z pewną życzliwością. Ubrana była lichu, w czarną, jedwabną, miejscami poprzecieraną bluzkę i krótką, zniszczoną, szewiotową spódnicę. Cała jej powierzchowność budziła mimowolne politowanie, to też panna Haldin łagodnym głosem powiedziała jej, że pani de S... spodziewa się jej odwiedzin.

— Ach! Piotr Iwanowicz przyniósł panj zaproszenie? Skądże ja mam tam o tem wiedzieć? Jestem damą do towarzystwa. Któż się takiej „damie“ zwierza!

Zaśmiała się okazując olśniewająco białe, prześliczne, drobne ząbki, które tak wyglądały w jej zwiedlej twarzy, jak sznur pereł na szyi lachmaniarki.

— Piotr Iwanowicz jest może największym geniuszem naszego wieku — podjęła po chwili „dama do towarzystwa“ — ale jest także najbardziej roztargnionym człowiekiem pod słońcem. To też jeśli się umówił spotkać tu z panią, to niech się pani nie dziwi, że go niema.

Panna Haldin odrzekła, że nie umawiała się wcale z Piotrem Iwanowiczem. Jej dziwaczna interlokutorka zaciekała ją.

— I po co miałby się trudzić dla pani lub dla kogo innego! Och! Ci genialni ludzie! Gdyby ich pani знаła zbliżka! A ich książki! Te książki, które świat uwielbia, ich matematyczne dzieła! Niechby tak pani posiedziała przez pół dnia przy stole z piórem w ręku. On potrafił chodzić godzinami tam i z powrotem po pokoju; a ja czasem tak zeszytywniałam siedząc bez ruchu na jednym miejscu, iż lęk mnie zdejmował, że spadnę z krzesła.

Mówiąc to trzymała ręce splecione przed sobą i tępym wzrokiem patrzyła na pannę Haldin. Ta, wymiarkowawszy, że „dama do towarzystwa“ pełniła jednocześnie obowiązki sekretarki Piotra Iwanowicza, powiedziała coś uprzejmego na ten temat.

— Nie ma panj pojęcia, co to za piła — rzekła tamta. Poczem zmieniając ton, dodała:

— Jest tam na górze jakiś anglo-amerykański dziennikarz, więc nie mogę pani zaprowadzić teraz do pani de S... Bo ja tu pełnię obowiązki mistrza ceremonii.

Dalszy ciąg nastąpi.

## Z literatury.

### Do duchowieństwa polskiego.

P. Wincenty Kosiakiewicz, świetny publicysta, który żywotnością swoją chlubi się wyróżnia w dziennikarstwie naszym, napisał głęboką a pełną troski broszurę p. t. „Do duchowieństwa polskiego“. Jest to głos katolika, który wśród szalejących wydarzeń wojny obecnej wzywa, by duchowieństwo nasze nie zrzekało się swych obowiązków narodowych. W olbrzymim dziele budownictwa państwa polskiego musi wziąć czynny udział i ksiądz każdy, nie wolno się wymawiać żadnymi argumentami, bo wobec słów stanąć muszą czyny twórcze, a te przecież decydują o naszej racji stanu. Broszura ta napisana jest z wielką siłą przekonania. Przejdzie ona do historii, jako „głos katolika“, który polską nację stanu umiał w sercu swoim przez katolicyzm opromienić glorią idealizmu i obowiązku.

### John Bowring i Kazimierz Brodziński.

Interesującą kartę z roku 1823 dostał p. Aleksander Kraushar. Kartka ta dotyczy stosunków literackich Johna Bowringa, poety angielskiego, z Kazimierzem Brodzińskim. W publikacji p. Kraushara znajdujemy omówienie listu Bowringa w sprawie przekładów na język angielski poetów polskich. Okazuje się, że Bowring przełożył na język angielski: Kochanowskiego, Szymonowicza, Zimorowicza, Sarbiewskiego, Gawińskiego, Krasickiego, Węgierskiego, Niemcewicza, Brodzińskiego. Prosił o Reya, Klonowicza, Naruszewicza, Książkiny, Dmochowskiego, Kropińskiego, Weżyka, Woronicza. Bowring rozumie się przełożył rzeczy, co wartościowsze, chcąc stworzyć antologię poezji polskiej w przekładzie angielskim. W roku 1831 Warsz. Tow. Przyjaciół Nauk mianowało go swoim korespondentem. Po upadku powstania listopadowego Bowring opiekował się żarliwie polskimi emigrantami. O Bowringu mówi p. Kraushar: „Nazwisko jego zapisało się wdzięcznym wspomnieniem w rocznikach naszej doli i niedoli“. Broszura p. Kraushara zainteresuje zapewne te koła inteligencji polskiej, które w Albionie szukają źródeł i ujęć współczesnej energii twórczej.

### Szopka żołnierska.

P. Jadwiga Marcinowska, znana działaczka społeczna i poetka, napisała „Szopkę żołnierską“. Jest to utwór przepojony hasłami aktualnemi, dźwięczą w nim jednak nuty gorącego patriotyzmu. Teatry amatorskie sympatyzujące z polityczną działalnością p. Marcinowskiej znajdą w „Szopce żołnierskiej“ materiał na widowisko.

